

## „Chrześcijaństwo jako wydarzenie dzisiaj”

W 19. rocznicę śmierci księdza **Luigiego Giussaniego** publikujemy pełny tekst jego konferencji zorganizowanej przez Stowarzyszenie Charlesa Péguy'ego i Centrum Kultury San Carlo (Mediolan, 28 października 1992)

pod redakcją **Davide Prosperiego**

**Moderator.** Ksiądz Giussani przedstawi nam dzisiejszego wieczoru zagadnienie: „Chrześcijaństwo jako wydarzenie dzisiaj”, będące przejawem genialności, z jaką doświadczenie, które wzbudził i którym żył w Kościele i dla dzisiejszego Kościoła poruszyło nas wszystkich. Następnie będzie miejsce na kilka pytań.

**Luigi Giussani.** Obiektywnie wydaje mi się, że znaczenie tematu („Chrześcijaństwo jako wydarzenie dzisiaj”) podyktowane jest faktem, że dziś słowo chrześcijaństwo łatwiej utożsamia się z szeregiem wartości moralnych albo z głoszeniem wartości moralnych, z troską o wartości moralne. Cóż, nie twierdę, że chrześcijaństwo nie jest zainteresowane wartościami moralnymi, mówię po prostu, że chrześcijaństwo wcale nie pokrywa się z głoszeniem wartości moralnych. Jeśli w ostatnią niedzielę uczestniczyliśmy we mszy św., po raz kolejny zdumiała nas przepiękna przypowieść o faryzeuszu i celniku (por. Łk 18, 9-14). Zawsze zaskakuje nas na końcu, gdy mówi, że celnik wyszedł ze świątyni, otrzymawszy przebaczenie, „usprawiedliwiony”, napełniony pokojem, podczas gdy faryzeusz, chełpiący się wszystkimi dobrymi rzeczami, które uczynił – i nie kłamał, Chrystus nie powiedział: „Faryzeusz kłamał”, w żadnym razie – wyszedł potępiony. Nie trzeba od razu wyjaśniać ostatecznej przyczyny tego przeciwstawienia; może się zdarzyć, że będzie to konkluzja innych przemyśleń. Chcę jednak powiedzieć, że dla kogoś, kto musi rozmawiać o chrześcijaństwie, myśleć o chrześcijaństwie lub żyć chrześcijaństwem, najważniejsze jest właśnie to, że nie może sprowadzić tego, czym chce się interesować albo czym chce żyć, do wartości moralnych, które jest w stanie wcielić w życie siłą własnej woli. Chrześcijaństwo jest faktem, wydarzeniem, faktem obiektywnym: nawet gdyby cały świat nie wierzył, nie mógłby już go usunąć. Nie ma argumentacji, która mogłaby się temu oprzeć: „*Contra factum non valet illatio*”, faktowi nie można przeciwstawić argumentacji, siły argumentacji. Chrześcijaństwo jest wydarzeniem w tym sensie, że nie jest przede wszystkim głoszeniem moralności. Z racji tego, że jest wydarzeniem, które implikuje Boga, działanie Tajemnicy w życiu człowieka, w historii człowieka, uważam, że najważniejszą przesłanką jest rodzaj uwagi lub czułe napięcie człowieka wobec samego siebie. Jeżeli człowiek nie darzy siebie uwagą i nie okazuje sobie czułości – takiej czułości, jaką matka okazuje swojemu dziecku – to znajduje się w sytuacji – tak twierdę – z konieczności wrogiej chrześcijańskiemu wydarzeniu. Jest takie zdanie Rainera Marii Rilkego, od którego często zaczynam, gdy rozmyślam nad samym sobą: „I wszystko się godzi, by nas przemilczeć, trochę jak / ujmę może, trochę niewyraźną nadzieję” („*Druga Elegia*”, w. 42-43, w: *Elegie duinejskie. Sonety do Orfeusza*, Dom Wydawniczy Elipsa, Warszawa 2011, s. 17). Nigdy nie znalazłem syntezy tego, co człowiek egzystencjalnie o sobie czuje, jeśli się uważnie zastanowi nad sobą – przy minimalnej ilości uwagi, jaką sobie poświęca – porównywalnej do tego stwierdzenia Rilkego. Człowiek, jeśli patrzy na siebie, jest zawstydzony, jest znudzony, zawstydzony aż do znudzenia, a przecież nie może zanegować impetu, impetu nieredukowalnego, który stanowi jego serce, impetu nieredukowalnego do pełni, powiedzmy do doskonałości lub satysfakcji, które w swojej wartości etymologicznej są identyczne: „doskonałość” ma bardziej znaczenie ontologiczne, a „satysfakcja” jest bardziej eudemonologiczna, jakby powiedzieć uczuciowa. Sądzę, że Bóg podjął działanie właśnie po to, by być odpowiedzią na to postrzeganie, które moim zdaniem, powtarzam jeszcze raz, jest jedynym realistycznym postrzeganiem siebie, jakie człowiek może mieć o sobie, jeśli myśli o sobie z uwagą i z matczyną czułością. Jeśli Bóg podjął działanie, to podjął je po to, by

odpowiedzieć człowiekowi, człowiekowi, który się wstydi, wstydi i nudzi się sobą, który z jednej strony odnajduje w sobie ograniczenia, z którymi się godzi, a z drugiej strony nie jest w stanie, nie może powstrzymać ust od tego krzyku, który rozbrzmiewa w jego sercu, tego oczekiwania, które nosi w swojej duszy.

**Jednakże Bóg podjął** to działanie, aby odpowiedzieć na sytuację człowieka. Dlatego wykonał ten ruch, stając się zbawicielem człowieka: jest zbawicielem człowieka, jest jego odkupicielem. Nie chcę jednak upierać się tylko przy tych szczegółach, nawet jeśli ta przesłanka wydaje mi się konieczna: że Bóg podjął działanie dla mnie. Święty Paweł mówi o tym wprost: „...który mnie umiłował i wydał samego siebie za mnie” (por. Ga 2, 20). I każdy z nas, którzy tu jesteśmy – przepraszam, że to mówię – musi powtarzać, może powtarzać i musi powtarzać to zdanie świętego Pawła: „Dla mnie”, to znaczy aby mnie wyzwolić; aby wyzwolić mnie, tak właśnie, wyzwolić mnie od znudzenia samym sobą i ciężaru tego ograniczenia, który odkrywam, który odkrywam we wszystkim, co robię. Z tego punktu widzenia chrześcijaństwo cechuje się pesymistycznym podejściem do człowieka. Nie bez powodu mówi o grzechu pierworodnym jako o pierwszej tajemnicy, bez której już nic więcej nie da się wyjaśnić; jest to tajemnica, ale bez tej tajemnicy nie da się wyjaśnić sprzeczności, w której nieubłagane żyje człowiek. Jeśli ma podejście pesymistyczne, jeśli początkowo jest pesymistyczne w stosunku do człowieka, kończy na optymizmie, głębokim, głębokim i wymagającym optymizmie. Optymizmie, dzięki któremu można stwierdzić: „Jeśli Bóg jest dla mnie, któż przeciwko mnie?” (por. Rz 8, 31), jak dodaje święty Paweł. Działanie Boga polegało na tym, że tajemnica Boga została skonfigurowana jako rzeczywisty człowiek, przyjęła rzeczywistość prawdziwego człowieka, czyli człowieka poczętego w łonie kobiety, i z tej małej i prawie niewidocznej cząstki rozwinęła się jako niemowlę, jako dziecko, jako mały chłopiec, jako młodzieniec, jako młody mężczyzna, aż wreszcie jest, staje się centrum uwagi w życiu społecznym narodu żydowskiego, pociąga za sobą tłumy, aż w końcu ma tłumy przeciwko sobie, ze względu na postawę kogoś, kto ma władzę w swoich rękach, aż po ukrzyżowanie, zabicie i aż po zmartwychwstanie, zmartwychwstanie ze śmierci.

Faktem jest zatem działanie Boga, faktem całkowicie ludzkim. Żeby wyjaśnić, co to wszystko znaczy, mówię młodym: „Pomyślmy o małżonkach, którzy przez dwa lata nie mają dzieci, wyobraźmy sobie, jak wyraża się ich życie, jak łatwo je też uporządkować. Po dwóch latach mają syna. Dziecko zakłóca całe ich życie i nie mogą już robić tego, co wcześniej”. Fakt chrześcijański jest jak dziecko, które rodzi się w rodzinie – w istocie także urodził się jako dziecko: wydarzenie chrześcijańskie jest Bogiem, który wkracza w życie człowieka i w historię człowieka, tak samo jak w historię człowieka i w życie swojej rodziny, i w historię ludzkości wkracza dziecko, które rodzi się z kobiety. Święty Jan w swoim pierwszym liście mówi do pierwszych chrześcijan: „My wam głosimy to, czego dotknęły nasze ręce, co widziały nasze oczy i co słyszały nasze uszy o Słowie życia” – to znaczy o prawdzie (por. 1 J 1, 1-3), ponieważ prawda stała się dotykalna, widzialna, słyszalna, tak jak słucha się kogoś mówiącego, jak widzi się kogoś, kto staje się obecnością, jak dotyka się ręk przyjaciela.

**W tym miejscu mógłbym** się zatrzymać, ponieważ w tym momencie pozostaje tylko spojrzeć temu wydarzeniu w twarz, temu, co się wydarzyło. I naprawdę człowiek czuje, że cała jego odpowiedzialność jest prowokowana, niezależnie od tego, czy to uznaje, czy też nie, ponieważ można to rozpoznać i można tego nie uznać. Wiele osób, które Go widziało, rozpoznało Go, a potem Go nie uznało, krzycząc: „Ukrzyżuj go!” (Mk 15, 13-14). To jednak jest zrozumiałe dla nas, którzy sami wiemy, kim jest człowiek, jak może się zachować. Reszta to sugestywne doprecyzowania, które w wychowaniu do wiary należy komunikować młodym ludziom i które każdy może samodzielnie przyswoić. Mówię, że na tym mogę poprzestać, ponieważ chciałbym wiedzieć, co jeszcze można powiedzieć poza tym: że Bóg stał się człowiekiem! Chrześcijaństwo jest zatem dotykaniem, widzeniem, słuchaniem, przyłgnięciem, podążaniem za tym człowiekiem. Podobnie jak to było w przypadku świętego Piotra.

Tym razem Jezus długo przemawiał w synagodze w Kafarnaum i wzruszył się, ponieważ wszyscy ludzie, którzy dzień wcześniej byli z Nim po drugiej stronie jeziora Genezaret, opłynęli jezioro, aby

znów się z Nim spotkać. W pewnym momencie uciekł, ponieważ chcieli Go uczynić królem: rozmnożył chleb! Weszli do synagogi w Kafarnaum, a On poruszony uporczywością, z jaką ludzie Go szukali, poszukiwali Go, powiedział: „Szukacie Mnie, bo dałem wam chleb do jedzenia, ale Ja dam wam do jedzenia Moje ciało” (por. J 6, 26-58). Właśnie dlatego, że Chrystus był człowiekiem, nasuwały Mu się obrazy z Jego ludzkiego doświadczenia, a najbardziej niepojęty obraz, jaki Mu się nasunął, a mianowicie obraz pozostania z nami pod znakiem chleba i wina, ta rzecz, która jest najbardziej niepojęta z tych, o których mógł pomyśleć, przyszła Mu wtedy do głowy pod wpływem emocji, jakie wzbudziła w Nim przynajmniej zewnętrzna lojalność tych ludzi: ci ludzie Go szukali. Jego odpowiedź nie korespondowała jednak z tym, czego ludzie spodziewali się po Nim. Wówczas, również pod wpływem intelektualistów, wszyscy ludzie powoli odeszli, aż w ciszy wieczornego mroku pozostali najwierniejsi. Jezus pierwszy przerywa milczenie: „Czy wy także chcecie odejść?”. Na co Piotr z tą co zwykle spontanicznością odparł: „Nauczycielu, my też nie rozumiemy tego, co mówisz, ale jeśli odejdziemy od Ciebie, dokąd pójdziemy? Tylko Ty masz słowa, które nadają życiu sens” (por. J 6, 59-69).

Mówię, że ta grupka ludzi, którzy poszli za Nim, stanowi sam początek historii chrześcijaństwa. Ponieważ poszli za Nim, rozpoznali, że było w Nim coś wyjątkowego, i nie potrafili wyjaśnić dlaczego i jakim sposobem. Istotnie, kiedy Chrystus pyta ich przy innej okazji: „«Za kogo uważają Mnie ludzie?»». «Niektórzy mówią, że jesteś synem Belzebuba, inni, że jesteś wielkim prorokiem». «A wy za kogo Mnie uważacie?»”, Piotr odpowiada Mu: „Ty jesteś Chrystus, syn Boga żywego”. A Chrystus na to: „Błogosławiony jesteś, Piotrze, masz szczęście, bo dałeś Mi odpowiedź, której nie możesz zrozumieć, a dałeś Mi ją, bo Ojciec ci ją zasugerował” (por. Mt 16, 13-17). Piotr nie zrobił nic innego, jak tylko powtórzył słowa, które Jezus powiedział o sobie przy innych okazjach. Podążali za Nim, pijąc, Ignąc do Niego ze względu na to, co pojmowali, robiąc to, co mówił, dopóki byli w stanie. Tacy jacy byli, rozpoznali Go i poszli za Nim. Poszli za Nim. Chrześcijaństwo jest historią ludzi, którzy w jakiś sposób zetknąwszy się z tym wydarzeniem, z wydarzeniem Chrystusa, z tym faktem historycznym, podążali za Nim, każdy, jak mógł, każdy, na ile może.

Zanim wyciągnę dwa wnioski, które chciałbym podkreślić, trzeba dodać jedną rzecz.

Działanie Boga polega na tym, że Tajemnica stała się dzieckiem w łonie kobiety, częścią ciała w łonie kobiety, częścią ciała kobiety, urodzonym jak każde inne dziecko. Zawsze myślę, zawsze bardzo mnie uderza, na początku Ewangelii, zwiastowanie Maryi przez Anioła, ponieważ jest tam całe przemówienie, a na końcu Maryja mówi: „*Fiat*, tak, niech Mi się stanie według słowa twego”. Następnie jest zdanie, które mówi: „I odszedł od Niej Anioł” (por. Łk 1, 38). Jestem naprawdę pod ogromnym wrażeniem i niemal codziennie myślę o sytuacji, w jakiej znalazła się ta 15–16-letnia dziewczyna: zupełnie sama, z Tajemnicą, którą nosiła w sobie – której nawet nie mogła jeszcze poczuć, bo ona dopiero się zaczęła – z rodzicami, którym musiała o tym powiedzieć, z narzeczonym, któremu musiała o tym powiedzieć. „Błogosławiona jesteś, która uwierzyłaś, że spełni się na Tobie to, co powiedział Bóg” (por. Łk 1, 45), powie jej kuzynka Elżbieta, którą Maryja poszła odwiedzić od razu, natychmiast, gdyż dowiedziała się od Anioła, że Elżbieta była w szóstym miesiącu ciąży (zob. Łk 1, 36-45).

Zatem tajemnica Boga wykonała ruch w stronę człowieka, stając się dzieckiem – to jest fakt. A chrześcijaństwo jest tym wydarzeniem, „jest” tym wydarzeniem.

Ale... co teraz? Nie mówię teraz, ale dziesięć lat po śmierci Chrystusa, rok po śmierci Chrystusa, sto lat później, pięćset lat później, tysiąc lat później, dwa tysiące lat później, teraz, ponieważ zadaję sobie następujące pytanie: gdzie jest teraz? Zadawali je sobie także pierwsi chrześcijanie, którzy żyli jeszcze w czasach apostołów, kiedy Jezus odszedł. Osoba spotkana dzień po Jego wniebowstąpieniu zadawała sobie to samo pytanie, które ja zadaję sobie teraz. A jednak On powiedział: „Będę z wami przez «wszystkie» dni” – zwróćmy uwagę na te fragmenty Ewangelii, które zawsze przedstawiają coś wielkiego – „Będę z wami przez wszystkie dni aż do skończenia świata” (por. Mt 28, 20). A ja jestem chrześcijaninem, ponieważ On, Bóg, jest obecny pośród nas i będzie obecny każdego dnia, aż do skończenia świata; dlatego jestem chrześcijaninem, mogłem wczoraj popełnić tysiąc błędów i dziesięć tysięcy zbrodni, jeśli tak powiem, jestem chrześcijaninem, będę potrzebował miłosierdzia

Chrystusa bardziej niż inni, ale jestem chrześcijaninem, a ten, kto nie dopuścił się zbrodni, kto płacił dziesięcinę, kto obchodził wszystkie święta liturgii żydowskiej, faryzeusz, nie!

Tak czy inaczej Chrystus pozostał obecny w świecie, w historii i będzie obecny aż do końca wieków za pośrednictwem jedności tych, których zdobywa i wszczepia w swoją osobowość; i stworzył właśnie gest, za pomocą którego bierze człowieka i wszczepia go w swoją osobowość, który nazywa się chrztem, jest to sakrament chrztu świętego. Jego obecność jest widzialna, namacalna, słyszalna, jako jedność wierzących w Niego, która również historycznie posiada nazwę – „Kościół”, co oznacza nic innego jak zgromadzenie. Jednak obiektywność Jego obecności ocala, zapewnia właśnie ta jedność, jak gdyby była ona namiotem, jak namiot, pod którym ukryła się tajemnica Boga, namiot wzniesiony pośrodku obozu izraelskiego. Ta jedność jest jakby namiotem pośród ludzi, którzy w Niego wierzą, którzy Go rozpoznają, których On pochwyił i wszczepił w swoją osobowość; ta jedność, w której On naprawdę jest, jest jak namiot. A Eucharystia nie jest niczym innym jak ekstremalnym, konkretnym wyrazem Jego konkretnej obecności.

**Święty Paweł, który** bardziej niż ktokolwiek inny podkreślał tę tożsamość obecności Chrystusa, Boga, który stał się człowiekiem, z jednością wierzących w Niego, zrozumiał to, gdy zrzucony z konia usłyszał skierowane do siebie słowa: „Szawle, Szawle, dlaczego «Mnie» prześladujesz?” (por. Dz 9, 3-4). Nigdy wcześniej nie widział Jezusa z Nazaretu, nigdy wcześniej Go nie widział i prześladował chrześcijan: prześladował chrześcijan. „Szawle, Szawle, dlaczego «Mnie» prześladujesz?”. Musiała tu zadziałać intuicja, która sprawiła, że rozumiała stała się dla świętego Pawła tożsamość, o której mówimy. Jednakże tożsamość ta była widoczna już w czasach samego Chrystusa. Ponieważ nie mógł On wszędzie się udać, do wiosek, które Go zapraszały, wysyłał swoich ludzi po dwóch; a oni wracali z entuzjazmem, mówiąc: „Nauczycielu, my również dokonaliśmy tego, czego Ty dokonujesz; uczyniliśmy cuda, które czynisz. Ludzie słuchają także nas” (por. Mk 6, 7-13). To samo zjawisko, które miało miejsce tam, gdzie był On, zachodziło w wiosce, do której udawali się ci dwaj. W jaki sposób Chrystus był obecny w wiosce, do której dotarło tych dwóch? Za pośrednictwem tych dwóch, których posyłał. Metoda, którą posłużył się Chrystus, aby wciąż być obecnym wśród nas, metoda, którą się posłużył, była już w użyciu za Jego życia. Za pośrednictwem obecności tych, którzy w Niego wierzą, jest On obecny, w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Zatem chrześcijaństwo jako wydarzenie jest Bogiem, który stał się człowiekiem i jest obecny w historii – wyrażam się jasno – w jedności tych, którzy w Niego wierzą. Jedność ta ma wartość pozaafektywną, wykracza poza termin „towarzystwo”, nie można jej utożsamiać z ludźmi, którzy mają takie samo zdanie. „Wy, którzy zostaliście ochrzczeni – mówi święty Paweł – utożsamiliście się z Chrystusem. Nie ma już Żyda ani Greka, niewolnika ani człowieka wolnego”, wielkich podziałów społecznych i kulturowych tamtych czasów, „ani mężczyzny, ani kobiety, ale wszyscy jesteście jednym, jednym w Chrystusie Jezusie” (por. Ga 3, 27-28), i posługuje się terminem *eis*, który w języku greckim oznacza „jeden” w sensie osobowym, osoby, ale rodzaju męskiego: „Jesteś jeden, *eis*...”. „Jesteście «Mną» – powiedział świętemu Pawłowi. – Dlaczego «Mnie» prześladujesz?”. To jest niewątpliwie dla mnie najtrudniejszy aspekt; proszę mi wybaczyć, jeśli osmielę się powiedzieć za nas wszystkich, ponieważ sposób, w jaki zostaliśmy wychowani – powiedziałem to także ostatnio dziennikarzowi w Lourdes (zob. „Don Giussani: il potere egoista odia il popolo”, wywiad przeprowadzony przez G. da Rolda, „Corriere della Sera”, 18 października 1992, s. 3; teraz w: *L'io, il potere, le opere, Marietti 1820*, Genova 2000, s. 214–219) – zapomina o tym trochę lub trochę to maskuje. Ja jednak mogę poznać Chrystusa za pośrednictwem czegoś obecnego. Ponieważ na tym polega geniusz Boga, który uobecnił się, aby dać się poznać człowiekowi i zbawić człowieka.

**Jedność wierzących** jest przygodnym, wręcz banalnym obliczem tej Bożej obecności. I tak jak wtedy ci, którzy poszli za Nim, stali się chrześcijanami i zmienili się, tak teraz stają się chrześcijanami i zmieniają ci, którzy podążają za tą jednością, której Chrystus nadał znak absolutnej obiektywności, jakim jest biskup Rzymu, głowa wspólnoty rzymskiej, ponieważ wszystko, wszystko zbiega się w tym – nawet sobór ekumeniczny, gdyby nie miał podpisu biskupa Rzymu, jest nieważny, nie byłby

ważny. Jest dokładnie odwrotnie niż to, co sobie wyobrażamy lub lubimy sobie wyobrażać. To nie nasze mniemanie prowadzi nas do Boga, to nie nasz sposób myślenia, to nie dialektyczne porównywanie się z innymi, to nie wynik teologicznych studiów – ale podążanie za obecnością. Zatem pierwszy wniosek, o którym chciałem nadmienić, jest następujący: podążanie za obecnością. „Podążanie za obecnością” tłumaczy jednak także drogę moralną; nie tylko przynależność z punktu widzenia przyłgnięcia, ale także droga moralna, którą zmierza człowiek. W przyrodzie istnieje przepiękne porównanie: w jaki sposób dziecko kształtuje własną osobowość? Im rodzina jest bardziej po ludzku bogata, intensywna, uważna, pełna szacunku, krótko mówiąc, im bardziej ludzka jest rodzina w podejściu do dziecka i im wierniejsza jest swojemu zadaniu, tym bardziej dziecko rozwija się wraz ze swoją osobowością, staje się sobą, kształtuje osobowość, podążając za rodzicami, za faktem, za wydarzeniem rodzinnym. Podążając za wydarzeniem rodzinnym, chłonąc jego prowokacje, niemal przez osmozę, niemal przez ciśnienie osmotyczne, osiąga wiek 15 lat, różniąc się od innych tym, że miało taką rodzinę, i jest sobą, ponieważ potrafi uzasadnić to, co wybiera, potrafi uzasadnić to, co robi. Analogiczny jest problem moralny w przypadku chrześcijanina.

**Tak jak bycie chrześcijaninem** oznacza przyłgnięcie do obecności, tak też podążając za tą obecnością, to znaczy uczestnicząc w prowokacjach tej obecności, człowiek się zmienia, człowiek zmienia siebie, człowiek rozumie i się przeobraża. Z przepięknym dodatkiem, który Pan podkreślił przy pomocy swojej definicji doskonałości, kiedy powiedział: „Bądźcie doskonali, jak doskonały jest Ojciec wasz, który jest w niebie” (por. Mt 5, 48). A kto może być doskonały jak Bóg? Chrystus zasygnalizował zatem, że prawdziwa moralność jest w całości pełnym napięciem dążeniem, jest drogą, krótko mówiąc: życie jako wędrówka, *homo viator*. Ludzie średniowiecza rozumieli to bardzo dobrze: życie jest drogą, dlatego wartością osoby jest bycie wiernym temu pełnemu napięciu dążeniu, dążeniu do uczenia się i podążania. A gdyby upadał tysiąc razy dziennie, zaczyna od nowa tysiąc razy. Drugim wnioskiem, który chcę podkreślić, jest zatem koncepcja moralności jako pełnego napięcia dążenia. Święty Ambroży napisał w jednym ze swoich listów, że świętym nie jest ten, kto nie popełnia błędów, ale ten, kto nieustannie stara się nie upaść (por. św. Ambroży, *Explanatio Psalmi* 1.22, *Explanatio Psalmi* 36.51). Gdy czytałem ten fragment świętego Ambrożego młodzieży w szkole, czyniłem takie oto spostrzeżenie: „Wyobraźcie sobie człowieka, który codziennie popełniałby błędy, ponieważ ma bardzo silną, bardzo poważną wadę – i codziennie popełnia błędy, każdego dnia – i każdego ranka wstając, mówiłby: «Boże, pokornie błagam, pomóż mi przekroczyć siebie, pomóż mi się poprawić», i każdego dnia popełniałby błędy, i przez 50 lat każdego ranka szedłby dalej, budząc się z tym szczerym zaczynaniem od nowa, tym szczerym wołaniem, i codziennie popełniałby błędy...: to jest święty – święty! – święty, którego dni byłyby pełne błędów”. Pojęcie moralności, które wyrasta z chrześcijaństwa jako wydarzenia, jest właśnie takie: moralność jest pełnym napięciem dążeniem, które dokonuje się jako podążanie za; i człowiek podąża za tak, jak może, na ile jest w stanie, zgodnie z daną mu łaską.

W takim kontekście Tajemnica przybiera postać, przybiera oblicze: „Bóg nie jest Bogiem umarłych, ale żywych” (por. Łk 20, 38), mówi Chrystus, to znaczy nie jest Bogiem naszych myśli, ale prawdziwym, rzeczywistym Bogiem, który przede wszystkim jest niewspółmierny z jakąkolwiek naszą myślą. „Myśli Moje nie są myślami waszymi, a drogi Moje nie są waszymi drogami” (por. Iz 55, 8). Jednak w takim ujęciu ta Tajemnica nie pozostaje całkowicie tajemnicą, nie pozostaje całkowicie nieznaną. To dziecko dorasta, umiera i zmartwychwstaje, a zmartwychwstając, nieodparcie wpływa na historię, przyciągając do siebie ludzi, których jedność stanowi Jego Ciało, Ciało tajemnicze, Ciało mistyczne – jak się mówi – albo lud Boży. To Ciało jest – pozwolę sobie najpierw dokonać porównania – niczym namiot Izraelitów na pustyni, w którym znajdowała się Arka Przymierza. Ta Tajemnica rzeczywiście obecna, w takim kontekście, naprawdę wyjaśnia nam Tajemnicę. Wyjaśnia nam w tym sensie, że ukazuje precyzyjną, doskonałą, mocną, sugestywną, bardzo czułą odpowiedniość Tajemnicy z naszym życiem – jak powiedział Rilke: z jednej strony osłabioną, a z drugiej pełną niewysłowionej nadziei – nazywa się ona „miłosierdziem”. Najwyższą definicją Boskości, Bytu, którą Chrystus wprowadził na świat i która poprzez jedność wierzących

pozostaje propozycją dla biednego człowieka w każdym czasie i w każdym stanie, jest słowo „miłosierdzie”. Bóg jest miłosierdziem – w przeciwnym razie słowo to jest dla nas niepojęte.

**Moderator.** Dziękuję! Teraz jest, jak mówiłem, miejsce na zadanie kilku pytań, które być może pomogą nam zrozumieć doniosłość tego, co powiedział nam ksiądz Giussani.

**Giussani.** Tak czy inaczej doniosłość ta jest ciągle potwierdzana, przynajmniej jak dla mnie, ponieważ gdy mówię w ten sposób, dziesiątki tysięcy ludzi podążyły za i nadal podążają. Gdy mówię w ten sposób! Pamiętam, jak pewien wybitny kapłan z naszej diecezji, którego darzę wielkim szacunkiem, ksiądz Barbareschi (prałat Giovanni Barbareschi, 1922–2018, z diecezji mediolańskiej), przybył na spotkanie, które zorganizowałem dla studentów w czerwonej sali PIME (Papieskiego Instytutu Misji Zagranicznych). Wszedł i zajął miejsce z tyłu. Mówiłem sobie: „Kto wie, co on tu robi?”, ponieważ sprawiał wrażenie nieco zawstydzonego. Kiedy skończyliśmy i wszyscy wyszli, on został i zapytał mnie: „Słuchaj, czy ty zawsze tak mówisz?”. Na co ja mu odpowiedziałem: „O, tak!”. A on: „Co oni w tym widzą?”. Musiałem zatem wykazać się pokorą.

Nie sądzę jednak, że jest to ślepa bezkompromisowość. Chrześcijaństwo można pojmować tylko w tych kategoriach. Nie wyczerpałem terminów, wspominałem o kilku terminach, które wydają mi się fundamentalne. Bo Dzieciątko Jezus jest sprawą fundamentalną, tak jak fundamentalna jest jedność Kościoła, która jest jednością wierzących, ale bez uznania obiektywnej normy nauczania papieskiego nie jest to już jedność, jest ona porzucona na pastwę hermeneutyki, interpretacji ludzi i każdy mógłby myśleć, co chce – i kto mu tego zabroni? A gdyby ten Kościół nie stał się tak bliski tobie i mnie, że urzeczywistnia się w towarzystwie, w którym się spotykamy i pomagamy sobie nawzajem, z pięćdziesięcioma, sześćdziesięcioma, siedemdziesięcioma, osiemdziesięcioma innymi osobami, to czym by był? Czymś abstrakcyjnym albo politycznym, ciekawym zjawiskiem albo fenomenem politycznym. Dlatego też Jan Paweł II powiedział jakiś czas temu do hiszpańskich biskupów Tarragony – niedawno to powtórzył, już nie pamiętam przy jakiej okazji – że Kościół musi korespondować z żywą wspólnotą, zbudowaną wokół osoby (*Przemówienie do hiszpańskich biskupów Barcelony i prowincji kościelnych Tarragony i Oviedo podczas wizyty „ad limina apostolorum”*, 11 listopada 1991, 5: „Przebudzenie ludu chrześcijańskiego ku większej świadomości Kościoła, poprzez budowanie żywych wspólnot, w których naśladowanie Chrystusa staje się konkretne i obejmuje wszystkie wymiary życia, jest właściwą odpowiedzią na kulturę sekularystyczną, która poważnie zagraża zasadom chrześcijańskim i wartościom moralnym społeczeństwa”). To jest metoda, o której mówiłem wspomnianemu wcześniej dziennikarzowi: skoro Bóg stworzył mężczyznę i kobietę i stworzył historię człowieka, czyniąc ją historią zbawienia, stając się towarzyszem człowieka, Bóg rodziny jest Bogiem Kościoła, to znaczy ludu, który wołał do Boga i został ocalony, jak powiedziała Estera w Biblii (por. Est 10, 3f). Czytamy o tym co tydzień w Liturgii Godzin: „Lud, który wołał do Boga i został zbawiony” (por. Ps 22 (21), 6). Zatem jest to ta sama metoda. Bóg, aby człowiek się urodził, aby uczynić go wielkim, aby sprawić, że człowiek stanie się sobą, aby zdefiniować człowieka, uczynić go doskonałym, posługuje się tą samą metodą: rodziną jako pierwszym towarzystwem. Jeśli jednak nie potrafi się ona rozwijać, staje się więzieniem albo grobowcem i człowiek ucieka, ucieka.

Dlatego też człowiek rodzi się w „rodzinie”, która jest jednością wierzących, w Kościele, w Kościele Ciele Chrystusowym, człowiek rodzi się w Ciele Chrystusowym i dorasta, gdyż nikt w Kościele nie jest taki jak ty i nikt nie jest taki jak ja, nie ma drugiego takiego samego. I ta różnorodność, która w kulturze liberalnej i racjonalistycznej stanowi potężną obiekcję wobec współdzielenia życia – różnorodność jest potężną obiekcją dla kultury współczesnej, na przykład dla samej możliwości działania państwa – staje się tutaj bogactwem tożsamości, która jest ponad i rodzi wszystkich. Ponieważ Chrystus jest wczoraj, dzisiaj i zawsze; jest dla drugiego, który ma swój charakter, który ja chciałbym mieć, i jest dla mnie, dlatego, że ja mam swój charakter, który ten drugi chciałby mieć.

**Wypowiedź.** Chciałem zapytać: jak w ciągu dnia, tak często pochłoniętego dziesiątkami problemów, jak żyć, podążać za tą Obecnością?

**Giussani.** Podążanie za Obecnością jest identyczne z innym sformułowaniem: pamiętaniem o tej Obecności. Kiedy chodziłem do szkoły podstawowej – potem wstąpiłem do seminarium duchownego – mój tata, zwłaszcza mój tata, był w moich oczach czymś nieustannie obecnym. Tylko raz w życiu ukradłem. W drodze do szkoły kolega z klasy, który stał obok mnie przed stoiskiem warzywnym, gdzie sprzedawano pieczone kasztany, powiedział mi: „Weź, weź!”. I wyciągnąłem rękę, i je wziąłem, i nikt mnie nie zobaczył. Wieczorem tata wrócił z pracy i powiedział do mnie: „Słuchaj, co zrobiłeś dziś rano?”. Poczułem, że mój ojciec jest wszechobecny, krótko mówiąc – jak Bóg. Dlatego sposobem podążania za tą Obecnością jest pamiętanie o niej. Dlatego Kościół mówi: jeśli w tym okresie, który dla wszystkich ludzi staje się miarą własnego wyrazu, jakim jest praca, pracujący tydzień, jeśli w tym czasie nie poświęcisz ani chwili pamięci o Chrystusie, nie idziesz na mszę św. w niedzielę... mniej niż to i się umiera: grzech śmiertelny! Oznacza to, że nie da się uniknąć stwierdzenia, że aby podążać za tą Obecnością, musimy o niej pamiętać, mieć ją w pamięci.

Jest piękny tekst, który na pewno czytałeś, *Opowieści pielgrzyma*, tekst wywodzący się z rosyjskiego prawosławia, w którym jest mowa o tym, że trzeba wyrobić w sobie nawyk przywoływania Pana, pamiętania o Panu raz, dziesięć razy, sto razy, dziesięć tysięcy razy dziennie, aż pokryje się to z oddechem (por. *Opowieści pielgrzyma*, W drodze, Poznań 2023, s. 36). Tak mówi tekst, przepięknie. Jeśli pomyślę, że Pan jest bardziej konkretny niż moja matka, jest bardziej mój niż moja matka czy mój ojciec, jeśli się nad tym zastanowić, to pragnienie zwielokrotniania pamięci jest nie tylko uzasadnione, ale jest nieuniknione, a czynienie tego staje się nie tylko możliwe, ale rzeczywiste. W ten sposób można świadomie popełnić błąd, a potem natychmiast pomyśleć o tej Obecności. A to pomnażanie pamięci coraz bardziej skraca czas zapomnienia i czas zdrady. W istocie zapomnienie dla dorosłego człowieka jest zapomnieniem o Tym, z którego człowiek się rodzi. Bo w tej chwili sam siebie nie czynię. Zawsze mówię młodym: „Powiedzcie mi, czy jest coś bardziej oczywistego niż to, że w tym momencie sam siebie nie czynisz, ja sam siebie nie czynię”. Zatem w tej chwili rodzę się z czegoś innego, a to coś innego nazywa się Bogiem, który stał się człowiekiem, dlatego rodzę się z Chrystusa. Im bardziej ta refleksja sprawia, że osobowość dojrzewa, nie jest już czymś dodanym, nie jest uciekaniem w abstrakcyjność, im bardziej zwielokrotniam tę pamięć, tym bardziej czuję, że spójność mojego „ja” rodzi się tam, skąd pochodzi. Niemniej jednak mam tę samą słabość, tak że myśląc o tym, mogę upaść, poślizgnąć się.

Kładę nacisk na te sprawy, bo przepiękne jest to, że chrześcijaństwo jest miłosierdziem, że Byt jest miłosierdziem: po ludzku nie do pojęcia jest myślenie o swoim przeznaczeniu, jeśli nie jest ono miłosierdziem. W istocie dla tych, dla których przeznaczenie nie jest miłosierdziem, nie myślą o nim, nie mogą o nim myśleć. A ponieważ przeznaczenie zbliża się coraz bardziej i nadchodzi, ci pierwsi są inteligentniejsi od drugich, pierwsi są inteligentniejsi od drugich. I wtedy, wybaczenie, prawdziwa odpowiedź na pierwsze pytanie – o której trzeba pamiętać, by podążać za – uwalnia od wszelkiego moralizmu; to nie są prawa, które należy stosować, ale pamięć, którą trzeba mieć. Kiedy byłem w szkole z moim nauczycielem Fossataro, centurionem milicji, w piątej klasie, zawsze miałem przed oczami mojego ojca: to nie były prawa, które mój ojciec mi wyjaśniał, to był on! I stosowałem się do prawa, pamiętając o nim. To jest bardziej syntetyczne, bardziej uczuciowe, bardziej ludzkie, prostsze.

**Wypowiedź.** Jeśli pamięć pozwala pozostać żywym temu faktowi, temu wydarzeniu, to dlaczego zdarza się na przykład, że także wśród nas, chrześcijan, nawet gdy pamiętamy, wydarzenie często zostaje zredukowane do ludzkich reguł? Mówię to, ponieważ dostrzegam w sobie taką tendencję, a także dlatego, że często, na przykład podczas mszy św., widzę, jak jest to rozpowszechniane w kazaniach komentujących czytania liturgiczne.

**Giussani.** Zgadza się z Panem, nie wiem, co Panu powiedzieć: metoda jest zła, sposób przekazu. Rodzice – powiedziałem tamtemu dziennikarzowi z Lourdes – chcą, aby ich dzieci były szczęśliwe,

ale to tak, jakby zapomnieli nauczyć je, jak to szczęście osiągnąć. To tak, jakby nie wiedzieli, jakiej drogi nauczać, aby je osiągnąć. I tak możemy przekazywać naszą wiarę, komunikować naszą oczywistość faktu chrześcijańskiego, komunikować nasze przesłanie: „Tajemnica Boga jest wśród nas”, nie szanując metody, jaką zakłada ta prawda. A metodą jest metoda, którą stworzył Chrystus: metodą jest obecność, taka, jak On ją zdefiniował, obecność jedności wierzących, obecność towarzystwa; towarzystwo oznacza ludzi będących razem, bo On jest, ponieważ Go rozpoznają. Absolutnie nie trzeba mieć, że tak powiem, entuzjazmu, jaki mogę okazać w określonych momentach, każdy ma swój charakter. Jednak to jest odpowiedź. On uczy tej metody: „Bądźcie zjednoczeni, podążajcie za; aby podążać za Mną, musicie podążać za waszym towarzystwem; towarzystwem, czyli jednością osób, które tworzą wspólnotę, ponieważ Ja tam jestem, ponieważ Mnie rozpoznają. A potem uczą się nawzajem, przebaczą sobie nawzajem”. Jest to błąd metodologiczny w przekazie. Moim zdaniem przez sto lat – jako chrześcijanie, jako lud chrześcijański – błędziliśmy w tej kwestii, w sensie metody, w sensie metody komunikacji. Mówi się: „Podstawowymi czynnikami rzeczywistości Kościoła są nieomylnie Magisterium...” – magisterium, które jest rzeczywistością obiektywną, nieomylną, ponieważ ostatnie słowo nie należy do mojej interpretacji, ostatnie słowo jest poza mną, i to jest ukryta wartość chrześcijaństwa: ostateczna wartość, prawda jest rzeczywistością poza mną; wychodzili z domu, natrafiali na ulicy na mówiącą Prawdę: Boga, towarzysza człowieka – „...Magisterium Kościoła i sakramenty”. A czym jest sakrament? Obecnością. Sakrament jest najprostszą formą pamięci. Zatem najpierw mówimy te dwie rzeczy, ale potem metodologicznie podążamy za naszym obrazem komunikacji lub oceny, osądu, za naszym ostatecznym obrazem, zakończeniem naszych dyskusji, teologicznej opinii na temat sporu teologicznego, tego, co mówią gazety, tego, co mówi telewizja, tego, co mówią księża.

To spektakularne – powtarzam to, co mówię młodym – że Chrystus zobowiązał tylko do jednej rzeczy, do spełnienia jednej rzeczy, zobowiązał nas tylko do jednego, w sensie metody komunikowania się z Nim: do sakramentów będących gestami, w których człowiek nie musi nic robić, poza tym, że musi mieć otwarte oczy, być świadomy. Podobnie jak ludzie, którzy przychodzili do spowiedzi w Wielkanoc, *illis temporibus*, przychodzili i stali spokojnie. Wtedy zadawałem kilka pytań, a oni odpowiadali: „Tak”, albo nawet nie: „Tak, nie”, kiwali głowami, a ja udzielałem rozgrzeszenia. Mniej niż to i się umiera. Nie trzeba myśleć, kto wie co, potrafić odczuwać, mieć określone emocje. To jakby powiedzieć: to jest książka! Chrześcijaństwo jest faktem! Zatem sposobem nauczania się tego jest trwanie w nim; oznacza przebywanie w towarzystwie ludzi, którzy się jednoczą albo uznają się za zjednoczonych, ponieważ tam jest Chrystus. Nazywa się to „komunią”, podobnie jak sakrament. Jest jednak dystans między tym a sposobem, w jaki zwykle żyjemy, bo – przepraszam – właśnie tego nas nie nauczono. Tak jak teraz zatracą się sens rodziny, tę spójność, która przez osmozę, przez ciśnienie osmotyczne przynosi wielkość i wychowuje dziecko, i czyni je sobą, sprawia, że staje się ono osobą, utwierdza jego osobowość, tak od bardzo dawna zatracano się sens tej „rodziny”, tej zażyłości z Chrystusem, która jest jednością między nami w Jego imię (dlatego do towarzystwa Kościoła może wejść przestępca i może wejść święty, a ten, kto ma mniej zastrzeżeń do tego, że należy do niego przestępca, jest święty).

**Wypowiedź.** Mówił Ksiądz o czułości, czułości człowieka wobec samego siebie i czułości Boga wobec człowieka. Chciałbym dowiedzieć się o tym czegoś więcej, ponieważ czułość przynależy do sfery bardzo intymnej, nie do końca jestem w stanie zrozumieć, co ma z tym wspólnego.

**Giussani.** Odpowiedź zawiera się już w Pana pytaniu. Mówi Pan, że słowo czułość przynależy do, wskazuje bardzo intymną sferę, bardziej intymną niż ja sam wobec samego siebie. A jeśli zastanawiam się nad sobą, postrzegam siebie, jak powiedziałem wcześniej, jako rzeczywistość, która w tym momencie jest tworzona przez Kogoś Innego, jeśli jestem świadomy faktu, że teraz wyłaniam się z Tajemnicy, ze zdumieniem widzę siebie. Jeśli patrzę na siebie jak na coś danego lub na dar, jestem zdumiony sobą i patrzę na siebie tak, jak matka patrzy na dziecko, które właśnie urodziła. Tymczasem nasza duma, pragnienie afirmacji sprawia, że jesteśmy sobie obcy, sprawia, że jesteśmy

dla siebie surowi. To dlatego zawsze myślę o Rilke, o tym zdaniu: „I wszystko się godzi, by nas przemilczeć, trochę jak / ujmę może, trochę niewyraźną nadzieję”. Obie te rzeczy znajdują się w środku. A Kościół jest jedynym miejscem, gdzie te dwie rzeczy są potwierdzane w odniesieniu do człowieka, jedynym miejscem, gdzie rozumie się ten paradoks lub tę sprzeczność, tę poruszającą i umiłowaną sprzeczność – nie chodzi o to, że sprzeczność jest ukochana, umiłowana jest jedność, która zawiera się w tej sprzeczności. Jednak najpiękniejszą rzeczą, jakiej mnie nauczono, jest słowo „miłosierdzie”. Nie istnieje ono w słowniku. To znaczy istnieje w słowniku, ale jest to jedyne słowo, niezwykle potrzebne, potrzebne na co dzień, które nie może wynikać z naszego doświadczenia. Zawsze wspominam – wybaczenie, że to dodam, obiecuję, że nie będę już więcej mówił – że mając trzy lata, zawsze chodziłem z moją mamą na Nieszpory. W kościele znajdowała się duża ambona w kształcie złotego ślimaka. Byłem tam, siedziałem z mamą, i był tam ksiądz wymachujący rękami i krzyczący, a ja byłem tam zawsze bardzo uważny; w pewnym momencie ksiądz zacytował zdanie: „Nawet jeśli twoja matka cię opuści, Ja cię nie opuszczę” (por. Iz 49, 15). Tak się przestraszyłem, że spojrzałem na mamę, która tam była, a spojrzałem na nią przerażony, z myślą, że może mnie zostawić. Moja mama odwróciła się do mnie, uśmiechnęła się do mnie i wtedy się uspokoilem. Jednak w zupełnie innym sensie ten moment jest jednym z najważniejszych momentów mojego życia: to właśnie od tego momentu, to właśnie w tym momencie zaczęły wyrastać korzenie rzeczy, które rozumiałem. Posiadanie matki jest wydarzeniem, nie są to prawa moralne, które należy stosować; ale posiadanie matki oznacza wewnętrzną potrzebę zachowywania się w określony sposób, pocałowania jej, powiedzenia „tak” lub rozplakania się, ponieważ popełniło się błąd, ponieważ było się nieposłusznym; i to bierze się z wnętrza. Tymczasem moralność na całym świecie bierze się z zewnątrz i zwykle staje się moralnością państwową, posiada cechy państwowe, ponieważ narzucane wartości moralne są – jakby to powiedzieć – przydatne dla państwa w momencie historycznym, w którym się ono znajduje.

**Moderator.** Dziękujemy Księdzu bezgranicznie. Jesteśmy poruszeni i zdumieni. Serdecznie dziękujemy, także za trud przybycia tutaj do nas.

© 2024 Fraternità di Comunione e Liberazione dla tekstów L. Giussaniego.